

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartałna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. półrocznie 4 Złr. — kwartałnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne po 1 1/2 kr. i za dopłatą 10 kr. stepowego.

Biuro ekspedycji w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

DWAJ BLIŹNIĘTA.

II.

Dwadzieścia lat później.

(Ciąg dalszy.)

Jak więc mówiłem, siedzieli lub leżeli opryszki koło ognisk swoich. Nieco oddalony od nich siedział Iwan czarny, co także nic nowego, wszystkie bowiem herszty wszystkich band zbójcekich na świecie, mają ten spryt, by się nie pospolitować bardzo, dla zachowania powagi i przewagi nad tą dziką i nieokrzesałą tłuszcą. I jakkolwiek Iwan czarny niczem nie był innym, jeno równie prostym jak drudzy górale, twarz jego świadczyła o pewnej czynności umysłowej, którą czy go już sama przyroda obdarzyła, czy może nadały mnogie życia doświadczenia. Jednej rzeczy brakowało, co we wszystkich tego rodzaju obrazach zdybać zawsze można, to jest kobiet, które wierne przeznaczeniu swemu, w dobrej czy w złej doli, w życiu cnotliwym czy zbrodniczym towarzyszą mężczyźnie. Iwan czarny, mający rzetelnie wielką przewagę nad sywmi opryszkami, najsurowiej im zakazał, by żadnej nie przypuszczali kobiety, przez które to, jak się wyrażał, wszystkie dotąd najsilniejsze i najślawniejsze bandy opryszków poszli na szubienicę. I niewiedząc zapewne o tem, powiedział Iwan czarny wielką prawdę historyczną. A że człowiek najprościejszy, nawet bezlitosny opryszek musi koniecznie do czegoś przyłgnąć, czemś się pieścić, miejsce zatem kobiet, zastępowały spore baryłki, wiele przez wszystkich usta całowane, a pełne wonnej gorzałeczki, tej nieodstępnej ludu naszego towarzyski. Jest to zaiste najniebezpieczniejsza czarodziejka, czarodziejka północy, czarodziejka sławiańszczyzny, która najłatwiej tumani niewyczerpanem bogactwem władzy, marzeń i nadziei, tych baniek mydlanych i zamków na lodzie, daje chwilowe zapomnienie rzeczywistości sztucznie ogniami rozpala ciało i umysł, i pōsty ciśnie do swego ciągłego użyciu obiecującego łona, póki z kochanków swoich nie wyciśnie ostatniej siły fizycznej i moralnej, i nie obdarzy w zamian chorobą, odurzeniem, śmiercią!...

Chwila, w której się zbliżamy do koczowiska opryszków, jest dość dramatyczna. Tylko co bowiem dwóch opryszków o postawach zawziętych srogością, przyprowadziło żydka, którego właśnie niedaleko lasu złapali. Wyznać trzeba że zrobili to tylko, aby dogodzić swojemu sumieniu zbójcekiemu, widok bowiem łapserdaków nędz-

nych i obdartych, jakie żyd miał na sobie, wzbudzał w nich wielką i słuszną zaiste pogardę. Jakoż z wyrazem wielkiego lekceważenia opowiedzieli Iwanowi czarnemu, iż złapali go drapiącego się po skale po nad lasem, i obmacawszy należycie, nieznalezli jeno kilka miedzianych sztuk pieniędzy, kawałek suchego kugła, chustkę bawełnianą, grosza niewartą i kawałek kredy. Mało dbał, bo i mało zważał biedny żydek na to lekceważenie; on drzał od strachu, i można było bezpiecznie o nim powiedzieć, że miał duszę na ramieniu.

— Z kąd idziesz! krzyknął Iwan groźnie.

— Jaśniego Panie!... ja tak sobie... znikąd! wydzwoił żydek zębami.

— Mów jasno i prędzej!... Po coś tu przyszedł?...

— Ja... jaśniego pan góral żartuje sobie... ja nie przyszedł tu... bo ja spadł z jakiegoś skała... i drapał się nazad, odpowiedział żydek próbując żartu.

— Tak, przeciągnął Iwan, i po chwili namysłu zawołał: Jurku!...

A gdy Jurko, rodzaj karła górala, podsadkowaty i grubopłaski zbliżył się, Iwan czarny dał mu tylko znak ręką, który tamten musiał dobrze rozumieć, bo odkiwnął głową z wyrazem szczególnego zadowolenia.

I żydek biedny postrzegł ten znak, a że strach ma nie tylko wielkie oczy, ale i wielkie pojęcie, zrozumiał od razu o co rzecz idzie, i zadrzał jeszcze okropniej, a oczami przewracał, patrząc z pod oka i pojmując doskonale, jakie Jurko robi przygotowania do wiernego wypełnienia rozkazu. Nie innego wprawdzie dostrzedz nie mógł, nadto że Jurko chodził po lesie, z głową do góry zadartą, jakby jaki astronom gwiazdy śledzący. Przecie się to żydkowi inaczej wydało, zaczął bowiem drzeć jeszcze więcej, i nagle padł do nog Iwanowi.

— Wstań żydzie! odowiedział na to Iwan.

— Ale jasny pan, mój jegomość... ja niewinny... ja biednego żydek, ja sobie handluje skurków, woskowiny... Pod Chajrem, ja niewinny jak dziecku, który przyszedł na świat.

I konwulsyjnym prawie ruchem porwał za kutasy wiszące u kaftana, i zaczął je całować i cmokać głośno w dowód swojej niewinności. Iwan czarny nie uczył go ani słowem odpowiedzi; leżał oparty o drzewo patrząc przed siebie, i otaczając się dymem bakunowym, który mierzwiście z krótkiej wychodził luki.

— Ja jegomościuniu, jasnemu panowi powiem prawdę... ale gur a prawdziwą prawdę. I z pewnem niby zaufaniem i tajemnicą zbliżył się do Iwana, jakby miał mu co ważnego powierzyć. Biedny żydek próbował wszystkich sposobów, aby się wyratować.

— Jegomość musi znać tego żyd, bardzo dużo bogaty w Peczyniżniu, Moszko Birnbach, co to won z wielki rodziny, i co won winem handluje — fein wino — dużo fein. — Won ma znajomości z tamtego strona, ze strona węgierska, i won tak czasem sprowadza różnych trunków... Ot ja jasnemu jegomościu prawdę powiem, wun czasem kontraband robi... Nu! to także uczciwy zarobek... I ja teraz szedł, dowiedzieć się na strona węgierska czy już wszystko gotowe, aby tego kontrabandu sprowadzić... Oj waj, to będzie dużo wielki kontraband.. Ja jegomościuwi coś powiem... Jak jasny pan góral każe, to ja was zaprowadzę na tego miejsca, gdzie kontraband przez góry pójdzie — nu! a jegomość dobrodziej — już ja się spuszczam na łaska pańska da Iekowi faktornego.

— Jurku! prędzej! krzyknął Iwan czarny miasto odpowiedzi. Właśnie też Jurko pokończył swoje przygotowania, przygotowania smutne ale krótkie. Nie gwiazd on bowiem śledzi, ale silnej i należycie przygiętej gałęzi. I ze stryczkiem w ręku zbliżył się do biednego żyda...

— Co to jest! krzyczał żydek i płakał razem. Za co to! ja nikomu nic nie winien... mnie zna całego świat!... Nu! jakto?... to gwałt!... to rozbój!... Jasny pan góral!... ja mam żona, dzieci...

Lecz próżne były jęki i proźby jego. Za Jurkiem przyszło dwóch innych sążnistych górali, i mimo wszelkiego oporu, nie ominęło go fatalne przeznaczenie. Za chwil kilka już żydek wisiał na gałęzi. W ostatnich konwulsjach spadł mu jeden patynek z nogi. Jeden z zagapionych przy tej ekspedycji górali potrafił nogą stary patynek, który potrafiwszy się o drzewo, rozleciał się zupełnie. I wypadł ze środka paperek jakiś. Rzucił się nań góral, myśląc że to banknot jaki. Lecz niestety, był to tylko świstek papieru zapisanego, i już góral chciał go rzucić precz, gdy mu przecie na myśl przyszło zanieść do czarnego Iwana. Czarny Iwan rzucił nań okiem, bo jak się pokazało, umiał trochę czytać, i wyczytał że to była karika do straży pogranicznej od strony węgierskiej, aby przysłała w pomoc na miejsce, które żydek ustnie naznaczy. Przeczytawszy kiwnął tylko głową i wyrzekł do oddającego.

— Ja to już wiedziałem naprzód, i dla tego żyd wisi.

A ci co tą odpowiedź usłyszeli, nuż się dziwić nad rozumem naczelnika, który już naprzód wiedział, to co było w patynku żyda.

Nie obeszło się też z drugiej strony bez krytyki, bo czy w wielkich czyli w małych rzeczach, na większej czy mniejszej widowni świata, jedno i to samo wzbudza zapał u je-

dnych, a u drugich naganę, gdy jedni kapitolu godnym sądzą, drudzy szła do tarpejskiej skały, — bo jak stare powiada przysłowie, jesezze się ten nie urodził, co by każdemu dogodził. To też w innem gronie cichszym rozmawiano głosem. Jeden bezwąsy jeszcze góral mówił do drugiego równie bezwąsego:

— To tego kazał powiesić, choć goły, i nic niemiał.. a wczoraj tego jakiegoś zakonnego księdza, który przysięgał że nic nie ma, kazał puścić, choć jak zaczęliśmy szukać, pokazało się, że miał kilkanaście sztuk złotych.

— Prawda, i to dla tego, że ksiądz powiedział: to na ubogich. Alboż to my nie ubodzy także.

— Albo dla czego ón zawsze czarno się ubiera.

Drugi ruszył ramionami tylko w sposób bardzo dwuznaczny, i tym razem oba zabili tę sprawę krytyczną potężnym hasłem gorzałki.

W tej to właśnie chwili, ozwało się po raz już drugie hukanie puszczyka już daleko bliższe. Kilku więc opryszków wybiegło naprzód i w krótko wrócili z naszym Mykitą. Iwan czarny ledwo go ujrzał zerwał się miejsca, wyskoczył naprzeciw niemu z wyrazem radości, który jego twarz bladą nie tylko rozweselił lecz i uszlachetnił zarazem.

— Mykita! bądź pozdrowiony bracie! zawołał i uścisnęli się oba bracia, uścisnęli się serdecznie.

Wielka wszakże była różnica w tej ich serdeczności. Iwan oddał się z całym popędem prawdy temu uczuciu, który go ściągnęło do brata, do brata podwójnego, bo nietylko pod jednym matczynem sercem spoczywali, ale spoczywali w łonie matki razem, dzieląc się przywiązaniem bratnim serca matczynego. I Mykita na widok człowieka, o którym dowiedział się, iż jest jego bratem, uczuł coś więcej nad zwykłe wrażenie obojętnego przywitania, ale między nim a bratem stanął mimowolnie obraz Małanki, i mimowolnie patrząc na brata, oglądał zarazem jego czarny strój, który mu przywiódł na pamięć i to co sam widział i opowiadanie siostry, które jak wiemy rozbudziło uspioną zazdrość. Jakoż po pierwszych uściskach ozwał się do niego nie bez niejakiego przekąsu:

— Więc ty mię już znał Iwanie!.. i nie chciałeś widzieć się dotąd z bratem!

— Widziałem cię bracie już nieraz, i z daleka i zbliżka i od pierwszego razu poznałem cię, chociaż niewidziałem cię jak małym dzieckiem jeszcze. A nie przyszedłem, bo czyż opryszek może się zbliżyć... dodał z uśmiechem.

— Dla górala opryszek jest bratem.

— I jak wiesz, niedawno tu przyszliśmy.

— A ojciec?

— Ojciec pomarł na węgierskiej stronie, gdzieśmy się tłukli po górach i dolinach przez lat kilkanaście. Ojciec jeszcze przed śmiercią mówił o tobie, i kazał ci przypo-

mnieć to co gadał do ciebie, gdy po śmierci naszej matki wychodził z domu.

— Ja pamiętam sam: pamiętam jak gadał, że idzie, bo już dla niego niema co robić w chacie bez żony, a we wsi z takim panem, i kazał mi iść do dworów, aby póty był jeden nieprzyjaciel we środku dworu, a drugi po za dworem.

— A ja dumał Mykito żeś ty zapomniał już!.

— I dla czegoż tak dumałeś?... Przecież kto jeżeli nie ja przyprowadził ojca, będzie temu lat dziesięć — ciebie ojciec zostawił podobno?... —

— Między cyganami na Węgrach.

— Do samego środka dworu, i sam ja rzucił głownię w środek folwarku, a jak się wszyscy rozbijali po nocy, toporkiem tak uciąłem starego w łeb, że na innego to już by nie wstał, ale może i lepiej się stało, że stary ma tak twardy łeb, bo się dłużej męczy, i taki teraz i gorzej jeszcze chodzi jak nasza babka, i chodzi i plecie, a temu niema ani początku ani końca. A potem wszyscy powiedzieli... że to się od lulki zajęło, i że staremu jak radował, jakiś belek upadł na głowę, a ja przez ten czas ojca wypuścił na wszystkie bramy.

— Wiem o tem bracie; to wszystko powiadał ojciec... ale ja dumał żeś ty potem już zapomniał.

— Dla czegoż by ja zapomniał?

— Bo jak już byłeś młodym i tęgim, zostałeś na służbie we dworze.

— Nie moja wola tam mnie posłała, a trzyma mnie pamięć że szesnaście lat jadłem ich chleb!.....

— Czy ty prawdę mówisz Mykito!...

— Za chleb mają moje postugi!...

— I serce?.....

— Co tam mówić o sercu... I cóż ma być więcej; stary dobrze pokarany... on by wolał umrzeć.....

— To za Warwarę!..... a za naszą matkę?..... on ma syna!.....

— Co ten temu winien..... on za ojca nie odpowiada... z synem ja się chował..... i on mnie kocha!.....

— I siostrę naszą kocha!..

— A kocha!...

— I ludzie powiadają, że ty sam pomagasz do zgubienia siostry.

— Ludzie głupi!..... On się z nią ożeni!.....

— Mykito! Mykito!... albo ty frant! albo ty głupi!.. Gdzieby panicz ożenił się z poddanką, z chłopką córką górala.

— On nie taki jak drudzy!... tylko suknie ciemne nosi... on taki prosty jak my.....

— I to by może grzech był przed panem Bogiem, bo ty wiesz Mykito, że podobno nasza matka była córką.

— Starego!... cho! cho! cho!... zaśmiał się Mykita i ten wyraz dziki, o którym mówiliśmy już wystąpił na

jego twarz. Nie wiele ty się Iwanie u cyganów węgierskich nauczył!..... Słuchaj Iwanie!... ja nie lubię o tym gadać... bo to baby tylko gadają i gadają.. jeżeli gębą nie wygadają tego co by lepiej było zrobić albo jeżeli kto niepotrzebny nie usłyszy. Jeżeli się ożeni!... i dowie się o tem... a dowie się pewnie; w tem ja!..... a choćby się dowiedział, czy ty myślisz że on długo będzie szczęśliwy, jak mu ludzie w oczy i po za oczy gadać będą, że on chłopkę ma... a tu już darmo bo ręce związane.....

— Ale i siostra będzie nieszczęśliwa!..

— Coż robić, jak raz złe przyjdzie, to ze złego tylko coraz gorsze. Niech ten przed Bogiem odpowiada, który do naszej chaty wniósł nieszczęście i zdradę.

— A jeżeli się nie ożeni?.....

— Jeżeli się nie ożeni! zakrzyknął Mykita na całe gardło, i ten znajomy nam już wyraz dzikiej srogości wystąpił na jego twarz. A ja od czego bracie!.....

— I ja Mykito!... zawołał czarny Iwan. Wtenczas przyjdiesz do mnie!..

— A to po co?... ja sam sobie wystarczę i niechęć dzielić się z nikim. Ty Iwanie przyszedłbyś ze swoimi, a ja za szesnaście lat chleba co mi dawali, niechęć by ich rabowano. Jak Bóg dopomoże, to ja sam także wystarczę.... Ale nie pytaj mnie o to Iwanie. Ot lepiej powiedz gdzie ty bywał po świecie.

Czarny Iwan przypatrywał się bratu z uwagą i umilkł przed tym wyrazem nieugiętym, który nadawał Mykicie pozor jakiejś wyższości ale i dzikości przytem Wytarty doświadczeniem, i jakim takim wykształceniem opryszek, musiał spuścić oczy przed prostym i gburowatym góralem.

Niebędziemy krok w krok szli za ich rozmową, którą można lepszym językiem i lepszą opowiedzieć wymową, ale niepodobna oddać z tą naiwnością obrazów prostych, i po pręstu, ale małowniczo oddanych. I nareszcie jakkolwiek obraz życia, jakie Iwan pędził pomiędzy cyganami, obraz mnogich wędrówek z jarmarku na jarmark póki przeszedłszy przez różne koleje swego rzemiosła nie wyszedł na opryszka, może być z pewnej strony, i dramatyczny, i zajmujący i pożyteczny nawet; obraz taki wymaga za nadto jaskrawej szczerości, aby mógł przypaść do smaku większości czytelników, a mianowicie czytelników naszych. Mimo więc wielkiej ochooty opuszcze ten epizod ich rozmowy, i przystąpię do innej części rozmowy, do której Mykita jako do części najciekawszej dla siebie, przystąpił się pomału, z całą sprytnością górala. Gdy już nareszcie zdało się, że utorował sobie drogę do tej rozmowy, zapytał brata:

— Czy byłeś wczoraj w Kryweńce?..

— Byłem! mówiłem przecie z siostrą, i oto nawet — dodał z obojętnym uśmiechem — wisi skutek zwierzęcej poczciwej Olenki.

— To było po krzyżu... ale we wsi?... w chacie jakiej?...

— Niebyłem... ale czego ty mnie o to pytasz?...

— Bo widzisz bracie, ja się rozkochał okropnie.

I z zapałem szczególnym, poetycznym nawet, mając wzgląd na usposobienie mówiącego, zaczął rozpowiadać że kocha Małankę, jak żaden jej człowiek więcej kochać nie może, i że jest tak zazdrośny, iżby zabił każdego, który mu wlaź w drogę. Czarny Iwan słuchał mówiącego na poły z zadziwieniem, na poły z niewiarą. Dla czarnego Iwana jak dla każdego górala, miłość była zmysłowa tylko. Kobieta podług niego była na to by tej miłości dogodziła; zazdrość więc uważał za czyste głupstwo.

Wygadawszy się i wysapawszy trochę, wyznał Mykita przed bratem że mu się zdało widzieć wchodzącego do chaty Małanczanej, i że ten wchodzący wydał mu się podobny do brata. Iwan czarny rozśmiał się w głos, i odpowiedział że rozmówiwszy się z siostrą poszedł prosto przez las do swoich.

— Bo słuchaj. I we śnie! już ja taki, że kiedy kocham, tobym kawał nieba urwał i przyniósł, a jak się gniewam, to się zaraz i mszczę, a jak się mszczę, tobym krew pił, tego coby mnie zdradził.

— Jeżeli tak! to porzuć Małankę.

— Dla czego?...

— Bo niema kobiety wiernej na świecie. Wierz mnie, który już to po całym świecie praktykował. Jedna dla najpiękniejszego lica, druga dla większego grosza zdradzi, a trzecia dlatego, aby zdradzić...

— Małanka mnie dotąd kocha.

Czarny Iwan spuścił oczy, by Mykita niewidział sztyrderczego uśmiechu, jaki przez chwilę zabłysnął na jego twarzy. Bliźnieta urodzeniem i podobieństwem, jednego ciała a prawie oba prostakowie bez wyższej nauki, różnili się o różnicę złudzeń bez doświadczenia, i doświadczeń bez złudzenia.

(D. c. n.)

Wieczór w kuźni.

W małym mieście kuźnia stała,
I chałupka przy niej mała,
A w niej kowal wśród czeladzi,
Jako majster rej prowadzi.

Równó z świtem już miech huczy,
Stary kowal czeladź uczy,
Jak wygrzewać i hartować,
Jak nastalać i wykować.

Oj kowalska ciężka praca,
Ale za to i popłaca;
Boć to kowal do wszystkiego,
I do tego i owego.

Czy to przyjdzie pług nastalić,
Czy podkowę młotem zwalić,
Wykuć pancierz lub szablę,
Choćby nawet i rusznicę.

Dla kowala nie zagadka,
Wnet wywiąże jakby z płatką
I każdemu w duch usłuży
Doma, w wojnie i podróży.

Zawsze z ogniem i z żelazem,
Z młotem w rękę raz za razem,
Po kowadle w takt przygrywa,
I junacką piosnkę śpiewa.

A jak słońce zejdzie z nieba,
To kowalom spocząć trzeba,
Wtedy majster czeladź bierze
Do swej chaty na wieczere.

Po wieczery, jak to starzy,
Stary kowal z młodzią gwarzy,
Czeladź słucha, bakuń pali,
Dawne czasy majster chwali:

Inak u nas dawniej było,
Co się żyło, to się żyło;
Dzisiaj wszystko na wspak idzie,
Nie dopatrzeć końca biedzie.

Za podkowę talar bity,
To zarobek wyśmienity,
Bo też to za króla Sasa
Było złota aż do pasa.

Dobrze wam o wszystkim wiedzieć,
Więc wam muszę opowiedzieć:
Zajście króla i kowala,
Bo swój swego rad wychwala.

Król polując w swych dąbrowach,
Gdy chciał wracać już po łowach,
W róg zatrąbił raz i drugi,
Na swe strzelce, na swe sługi.

Ruszył z miejsca wezwał dwór cały,
Wielki przepych, okazały
Boć przy królu i hetmany
I rycerstwo, radne pany.

Tak jechali kawał spory,
Wiodąc z sobą rozhowory,
Jak się komu poszczęściło,
Co zwierzyny się ubiło.

W tem gdy minął już dąbrowę,
Król zatrzymał, bo podkowę
Rumak zgubił. — Aż tu zdala
Słyszcy ciężki młot kowala.

Więc do kuźni wnet przybędzie,
I co rychlej z konia zsiędzie,
Do kowala tak wyrzeczcie:
„Za podkowę talar człeczcie“!

Kowal węgla wskok dołoży,
Miechem zadmie, ognia sporzy,
I żelazo w mig rozpali,
Po gorącym młotem wali.

Przez ojczenasz już podkova
Do podkucia jest gotowa;
W tem król chwyci w silne ramię,
I podkowę w dwoje złamie.

„Ot nicpotem, kuj na nowo.“
Kowal kuje, kręci głową,
I ramienia nie żałuje;
Co wykuje — to król psuje.

Kowal na kiel wziął u licha,
Młotem wali, modli z cicha,
I udało się tą razą:
Król był słabszy jak żelazo.

Więc talarka sam król poda:
„Taka, rzeknie, była zgoda!“
Na to powie kowal stary,
Łamiąc talar: „Złe talary“.

Co król poda, to on złamie,
Król pomyśli, silne ramię!
„Chwat z waszeci!“ w głos wykrzyknie,
Konia zepnie, z oczów zniknie.

Tak król zwan podkowołomca,
Bisurmanów on pogromca,
Co panował narodowi,
Nie dotrzymał kowalowi.

Więc czmychnąwszy w ciężkiej dobie
Król pomyślał tak sam sobie:
„Jeden Bóg nas wszystkich stwarza,
Tak kowala jak mocarza.“

Za talarów pełny korzec
Kupił kowal piękny dworzec,
I w kolasce, z wielką pychą
Jeździł sobie z kowalichą.

Tak to u nas dawniej było,
Co się żyło, to się żyło,
Może wróca czasy dawne,
Wielkie skarby, meże sławne!

O tem tylko wiedzą nieba!
Północ dzieci, spocząć trzeba,
A jak jutro doczekamy,
To znów sobie pogadamy.

Józef Jakubowicz.

Najnowsze dzieła.

Garbaty.

Powieść przez Józefa Korzeniowskiego, tomów trzy.

(Dokończenie.)

Tysiące przykładów najbrudniejszego egoizmu, tysiące najszkaradniejszych zbrodni nie może zniszczyć tej wielkiej zawsze żywej prawdy, że jak w czaszce człowieka obok najgłupszych pomysłów mieści się myśl, która ludzkości przewodniczy na drodze intelektualnego kształcenia się, tak w piersi człowieka obok najlichszych namiętności, mieszczą się najszczytniejsze uczucia wiary, miłości, nadziei, tej troistej gwiazdy, która przez morze wszystkich historycznych i domowych występków, prowadzi ludzkość naprzód, i nie daje jej w nim przepaść, mimo tych milionów złotych i wątrobianych proroków, którzy zapowia-

dali jej upadek w kałużę zepsucia i swemi złowrogimi przepowiedniami pozapełniali wszystkie świata księgozbiory. I zaprawdę uśmiechnąć się musieliśmy, czytając na początku drugiego tomu rzeczony powieści, jak autor tłumaczy się poniekąd z zarzutów czynionych jak jemu tak i drugim pisarzom, że malując niektóre mianowicie klasy społeczeństwa, ciemniejszych używają barw. Wszakże nikt pewnie mniej od p. Korzeniowskiego nie zasłużył na ten zarzut; on który w „Garbatym“ jedyną stroną ciemniejszą tego obrazu, w postaci macochy garbusa przedstawioną, ozłocił na końcu promieniem żalu i skruchy. Nie robimy z tego tłumaczenia się zarzutu szanownemu powieściarzowi naszemu, powiemy jeno, że słowa jego to groch o ścianę rzucony, bo jest to już powszechnym narowem u nas urażać się solidarnie za przytyk choćby najlżejszy do pewnych wad powszechniejszych naszego społeczeństwa. Ani też się wdamy w rozbieranie, ażali to jest ozwanie się nożyczek na stole; powiemy tylko, że jeżeli najpiękniejszym powieściarza jest powołaniem poetyzować i idealizować nawet wszystkie szlachetne popędy duszy i serca ludzkiego, o tyle jest także jego najświętszym obowiązkiem nieprzepuszczać żadnej zdrożności, jakaby się tylko i gdzieby się tylko pojawiła w społeczeństwie. I dodawszy nawet, kompletując sąd nasz o p. Korzeniowskim i o rozbieranej przez nas powieści, że o ile jest niewyczerpany w słodkich, rzewnych i tkliwych obrazach, o tyle także niewyczerpane w nim jest źródło pobłażliwości dla tych nawet przywar, które jemu samemu nadto już w oczy biją. On je podniesie, dotknie, i w tej samej prawie chwili pokryje płaszczem chrześcijańskiego miłosierdzia. Jestli to zaleta czy wada?... Pytanie to drażliwe, objętością swoją przechodzi o wiele zakres naszego rozbioru, powiemy więc tylko w końcu, że jest to podobno rzecz wrodzonego już usposobienia. Jeżeli miły i rozczulający jest głos słowika pełen melodyi i nieraz w sercu zatwardziałem nawet wzbudzi jakieś miększe, więcej ludzkie uczucie, czyliż da się zaprzeczyć, że stróżliwy głos wiernego psa, równie może być przyjemnym, jeżeli nie melodyą, to przez pożytek przynajmniej. Idzie więc tylko o to, by ta różnica usposobień nader naturalna, nie przeszkadzała dążyć do koniecznego a jednego celu, którym być powinien pożytek ogółu. I dla tego nie godzimy się zupełnie, z lekką i pobieżną przymówką, jaki w orzeczonem już wstępie do drugiego tomu szanowny autor zdaje się robić pisarzom którzy w najlepszej może wierze, to zapewne nader dla siebie niewdzięczne wzięli postanowienie, zwracać uwagę powszechną na ciemniejsze strony społeczeństwa. Ludzie z swemi wadami są częstokroć jakby dzieci, którym pomoże czasem wbijanie w ambicję, a czasami i skarać ostrzej nie zawadzi.

Kraków 12. Stycznia. — Dopiero z dniem 15. b. m. rozpoczyna się u nas publiczne zabawy. Dla czego tak późno?... bo p. Megerle wie dobrze, że co się odwlecze, to nie uciecze; — karnawał długi, dość więc jeszcze będzie czasu, za kilka dni zwłoki w dwójnasób wynagrodzić sobie, wytrzymawszy poprzednio publiczność krakowską w gorączkowym oczekiwaniu publicznych balów i redut. —

Co się tyczy teatru — p. Megerle może, ale publiczność — notabene polska, z małym wyjątkiem, — zadowolona nie jest. A to z przyczyn: że po pierwsze — dość wielka liczba jest takich, którzy po niemiecku nie umią, na przedstawienia więc wyłącznie niemieckie — prócz jedynie opery — uczęszczać nie mogą; — powtórę i świadomi tego języka, nie wielką korzyść odnoszą uczęszczając do teatru; niniejsza scena allowiem doborom sztuk dotychczas poszczycić się nie może: same po największej części krotochwile, dowcipy Nestrojowskie, których celem rozśmieszyć, lecz nie nauczyć publiczność. Stąd trudno coś stanowczego i o grze aktorów orzec, talent albowiem i zdolność sceniczną nie po brukowym sądzi się dowcipie. — Od czasu objęcia dyrekcji teatru przez p. Megerlego przedstawiono pięć oper, z których pierwsze przedstawienie *Nocleg w Grenadzie* — najlepiej się udało. Tu po raz pierwszy dał nam się słyszeć p. Wieser tenorzysta, i p. Stoll barytonista, a grzmiące oklaski publiczności słuszną obóm oddały pochwałę. Oczekujemy z wielką niecierpliwością przybycia primadonny, którą na teraz z nienajlepszym skutkiem pani Stoll zastąpić jest przymuszona.

O dramacie polskim ani słyhu niema, chociaż p. Megerle przeszłego miesiąca uprzedził publiczność, iż od 1. Stycznia pojawią się na naszej scenie i polskie przedstawienia. Wtem jednakowoż nie tego wina; bowiem pomimo szczerej chęci i wszelkich zabiegów, gdzie szukać aktorów dla polskiej sceny!... w Warszawie? — we Lwowie? — co dobre pewnie się nieruszy, mając zapłatę piękną, zapewniony byt na przyszłość; a co złe, z chęcią by jechało, lecz; cóż znowu nam po nich? — Dawna trupa pod dyrekcją p. Chełchowskiego z tymże zakontraktowana, przy nim więc pozostać musi — a nieporozumienia, jakie ostatnimi czasy zaszły pomiędzy dawnym a obecnym dyrektorem teatru, (więcej jednakże z winy pierwszego, jak drugiego), stanowią główną przyczynę, dla czego p. Megerle, jak to już dawniej słychać było, z p. Chełchowskim w tym względzie do żadnej ugody przystąpić nie może. —

Z resztą p. Megerle nie ma prawa uskarżać się na pustki w teatrze, pomimo liczniejszych przedstawień, jak za czasów poprzedniej dyrekcji. Porządek obecny zewnątrz i wewnątrz teatru, nowość i nudy długich zimowych wieczorów, sprzyjają na teraz dyrekcji, — toż w zapusty i wpoście pójdzie jako tako; ale z przybyciem dnia i rozpoczęciem spacerów wiosennych, — jak z małym wyjątkiem wszędzie, dopiero dyrekcja na pustki w teatrze narzekać będzie mogła.

Z Warszawy. — Trzy tłumaczenia z francuzkiego świeżo na naszej scenie przedstawiono. Pierwsza: komedia jedno-aktowa, a raczej dialog **Podstęp pana kapitana** wdzięcznie maluje scenę domowego pożycia, Pan kapitan pojąwszy za żonę młodą osobę, która już poprzednio oddała serce komu innemu, stara się po swojemu miłość żony pozyskać. Ludwika, widząc poświęcenie i anielską cierpliwość męża, zaczyna go kochać, i gdyby nie fatalna przysięga dana Alfredowi, byłaby najszczęśliwszą żoną swego Oskara. Kapitan chcąc się upewnić o uczuciach żony dla owego rywala, zmyślnym listem naznacza jej w imieniu Alfreda schadzkę w ciemnym pokoju. Ludwika, żeby raz skończyć z ową nieszczęśliwą miłością, schadzkę przyjmuje. Tożsamość osoby wywołuje kilka sytuacji nader komicznych. Nakoniec kapitan odczytuje list, który w miejsce mniemane-

go Alfreda sam odebrał, a dowiadując się z niego, że jest szczerze przez żonę kochanym, i że ta ostatnia zrywa z dawnym kochankiem, pada na kolana, prosi żony o przebaczenie swego podstępu i rzecz najlepiej w świecie się kończy. Druga przedstawiona komedia pod tytułem: **Bukiet i pocałowanie**. Jedna z tysiącznych scen garnizonowych francuzkich, ma w sobie wiele życia. Akcja szczęśliwie prowadzona, z ciągiem dla widzów zajęciem. Armand d'Albe de Boisse, młodzieniec znakomitej familii, obrzydziwszy sobie życie światowe i rodzinne, wstępuje do pułku ułanów garnizujących w Nancy. Emelina, młoda wdowa z okolic tego miasta, ma zaślubić dowódcę pułku w którym Armand służy. Chcąc zaś się wywiedzieć o swym przyszłym, udaje się incognito, przebrana za wieśniaczkę, do Nancy; tam dziwnym trafem spotyka się z Armandem, który obroniwszy ją od złotych swych towarzyszków broni, w nagrodę otrzymuje bukiet i pocałowanie. Fryderyk malarz, dawny przyjaciel Armanda, wystany przez familią tego ostatniego, aby powrócił młodego żołnierza w domowe progi, namawia go na bal do pobliskiego zamku. Armand skazany za niestawienie się na mustę do aresztu, otrzymuje po kryjomu od sierżanta urlop na noc całą, i udaje się przebrany po cywilnemu na ową zabawę. W pani domu poznaje ową wieśniaczkę, którą pokochał; niebawem zjeżdża tam pułkownik, który wszakże nie zna osobiście swojego żołnierza. Wzajemne te pozycje następują wiele scen komicznych. Rzecz kończy się pojedynkiem między pułkownikiem a Armandem; ten ostatni zostaje ranionym. Nazajutrz wszystko się wydaje, Armand ma być stawiony przed sąd wojenny, ale rozkaz ministra wojny, uwalniający od służby Armanda nosi datę sceny na balu, więc rzecz ta cała jakoś ku wzajemnej wygodzie osób interesowanych się kończy.

Najlepiej obrobiona i najwięcej wzbudzającą zajęcia jest niewątpliwie komedia w jednym akcie pod tytułem **Przysługa**. Hortenzya, żona adwokata Blancharda, ma nieco słabości ku Pawłowi młodemu dependentowi swojego męża, a słabość ta przyjęła już nawet formy nieco drażliwsze, w pierwszym hileciku miłosnym Hortenzyi. Cezarina, żona dobrodusznego Montonela, a przyjaciółka Hortenzyi, wypadkiem na balu maskowym opery, wzięta za Hortenzyą przez Pawła, dowiaduje się o całej intrydze. Usiłuje więc uratować Hortenzyą od zgubnej miłości, a widząc, że przedstawienia nic nie pomagają, z narażeniem się własnem zamierza oddać prawdziwą przysługę Hortenzyi, rozwijając praktycznie przed nią zgubne skutki wiarołomstwa na własnej osobie. Namawia przeto pocziwego i łagodnego Montonela, opowiedziawszy mu rzecz całą, aby udawał względem [niej zazdrośnego i zdradzonego męża. Montonel, który marzy tylko o swych jedwabnikach, podmówiony przez żonę, udaje tak dobrze, że Blanchard i Hortenzya biorą udanie za dobrą monetę. Intryga wszakże tak dalece się posuwa, iż Montonel o wiarołomstwo własną żonę, na serio posadzać zaczyna, i z człowieka spokojnego robi się gwałtownik, tą razą już na prawdę. Wyzywa na pojedynek Pawła; wtedy Blanchard, chcąc oszczędzić Cezarynę, całą winę składa na swą żonę i nibyto przebacząc kochankom wspaniałomyślnie, żąda tylko zwrotu listu od Pawła. Ten wsuwa go zgrabnie w rękę Cezaryny, Montonel to postrzeża: nowy wybuch, Blanchard rzuca list w ogień. Z niedopalonego kawałka Montonel poznaje rękę Hortenzyi, a nie swej żony i nieco późno wartość oddanej przysługi pojmuje Hortenzya, uradowana. Wszyscy uszczęśliwieni.

Rozmaitość.

P. Stefan Marzell mieszkający w Wiedniu (Mariahilfer Hauptstrasse nr. 44) uzyskał w upłynionym roku przywilej na **wyrabianie mąki z kaczanów kukurudzy**, która nie tylko jako ospyka na wykarm dla bydła i na wódkę, lecz także jako mąka na zdrowy i pożywny chleb może być użyteczna. Według robionych doświad-

czeń przez znawców w Wiedniu, 100 funtów kaczanów wydało 31 funt. delikatnej mąki, 64 funty osypki, i 3 funty otrąb. Rozbiór chemiczny okazał, iż taka mąka zawiera w sobie wiele krochmalu, gumy i cukru, a tak mało soli nierozpuszczalnych, iż nie tylko jako doskonała karma dla bydła, lecz także jako materiał do wyrobu wódki, a z przymieszaniami wszelkiej innej mąki także na chleb może być przydatna. Właściwym wynalazkiem pana Marcell jest maszyna do tłuczenia czyli rozdrabniania kaczanów, aby je potem zemleć nazwyczajnym młynem; takie maszyny kosztują u niego wmiarę ich wielkości i siły 390 złr., 500 złr. i 1900 złr. Pan Marcell żąda od nauceń swego sposobu przyrządzania kaczanów, od każdego właściciela gruntu po 15 krajearów od morga pola kukurudzą uprawionego jako wynagrodzenie roczne przez czas trwania jego przywileju! Proby mąki z kaczanów można widzieć w kancelaryi Komitetu Towarzystwa gosp. we Lwowie; części pożywne: krochmal, klej i guma wynoszą około 53%, podczas gdy mąka z nasienia kukurudzy zawiera części pożywnych 80 do 90%. A ponieważ na 100 funtów mąki potrzeba kaczanów 161 funt., a nasienia kukurudzy tylko 114 funt., przeto siła pożywna kaczanów do siły pożywnej kukurudzy ma się jak 33 do 76, czyli w przybliżeniu 10:24. Jeżeli zatem 100 funtów kukurudzy kosztuje 4 złr., to 100 funtów kaczanów będą warte 1 złr. 40 kr. Przypuściwszy że z morga zasianego kukurudzą może być około 20 cetnarów kaczanów, pomnożyły się surowy dochód z morga o 33 złr. 20 kr.

Każdy przyzna, że roślina, któraby kartofle zastąpić mogła tak ce do ich dawnej urodzajności, jak i rozlicznych użytków bardzoby była pożądaną; różne też naukowe towarzystwa wyznaczają ciągle nagrody za odkrycie lub przyswojenie takowej. Niedawno więc doktor Bassel przedstawił towarzystwu zachęcenia (*Société d'encouragement*) w Paryżu, ozdoba roślinę ogrodową znaną w całej Europie, **koronę cesarską** (*Fritillaria imperialis*), która roślina znana jest i u nas, a co naważniejsza przetrzymuje w gruncie najostrej sze zimy.

Jeżeli wierzyć można zapewnieniom Dra Basseta, opartym jednak na doświadczeniach w wielkich rozmiarach wykonanych, bulwa korony cesarskiej, zastąpić może zupełnie kartofle pod względem przemysłowym, a nie ma wątpliwości, iż wiele by się zyskało, gdyby na wyrabianie wódki, krochmalu, mączki i dextryny używano innej rośliny, bo kartofle pozostałyby li na pożywienie, które trudno będzie dla smaku do któregośmy wszysej przywykli czem innym zastąpić. Sumienny rozbiór dokonany pod okiem członków wysłanych z grona towarzystwa, okazał, iż 100 części świeżej bulwy, zawierają: wody 68, mączki 23, materij rozpuszczalnych 5, osadu suchego 4 części. W kartoflach zaś: wody 70, mączki 20, materij rozpuszczalnych 4, osadu suchego 6 części. Bulwy korony cesarskiej zawierają jak wszystkie doświadczenia porównawcze okazały, o trzy na sto mniej mączki jak kartofle, największą ich wadą zaś ma być odór im właściwy, który jednak zupełnie niknie przy wyrabianiu mączki, np. moczy się takową w wodzie z 50 częścią octu, albo z 1000 częścią sody. Ciastka z niej któremi uraczono członków towarzystwa rolniczego miały być wylorne.

W Kalifornii, w hrabstwie Calivera, stronie północno-wschodniej na górze, rośnie **Ceder**, przechodzący ogromem swoim to wszystko, co tylko w państwie roślinnym na obszarze ziemi znajdować się może. Ma on objętości przy samej ziemi sążni 13, o sześć łokci wyżej dwanaście sążni, a na górze 15 łokci. To drzewo wysokie na 40 z górą sążni, rozgałęziło się przeszliennie, i w całym swym składzie jest nader proporcjonalne, co rzadko widzieć się zdarza na drzewach długo rosnących i tak wysokich. Majestatyczny cedr obudza mimowolne podziwienie w podróżnych, tem bardziej, że jak

świadczą pasy jego corocznych wzrostów, liczy on już sobie 2,520 lat. Na malowniczym wybrzeżu Dniepru, gdzieś w okolicy Kijowa, ma się znajdować dąb, co pamięta czasy Ś. Włodzimierza.

W końcu r. z. odbyło się w Białowieżskiej puszczy jedno z nader rzadkich i ciekawych **polowań na żubra**. Niegdyś jak wiadomo, zwierzę to było dosyć pospolite, czego dziś jeszcze dowodzą liczne skielety jego kości, znajduwane na brzegach Renu, Elby, Wisły. Około wieku XVII. a nawet i w XVIII. stuleciu, żubry znajdowały się w Rossyi oraz w Prusach, Polsce i na Litwie, ale z czasem tak wytępione zostały, że dziś tylko posiada je Białowieżska puszcza, położona w powiecie Prużańskim w gub. Grodzieńskiej. Według istniejącej w tym celu kontroli, obecna tamże teraz liczba żubrów dochodzić ma do 1543 sztuk. Wszelkie polowanie na żubry zupełnie jest wzbronione, i odbywają je jedynie w skutku Najwyższego rozkazu. Podobny rozkaz zapadł w końcu listopada r. z. a to dla wzbogacenia muzeum przy uniwersytecie Dorpackim. Rozkaz ten dotyczący zabicia jednej tylko sztuki, poruczony został do wykonania Łowczemu gub. Wileńskiej, hr. Michałowi Tyszkiewiczowi. Kilka więc osób i miłośników myślistwa zjechało się do wsi Hajnówki, położonej w puszczy Białowieżskiej, aby wziąć udział w polowaniu. Zaczęło się dnia 21 z. m.; JW. Kożewników jako Prezydent Izby Dóbr Państwa, kierował takowem. Z powodu wszakże nieprzybycia w tym dniu Konserwatora Dorpackiego, p. Filipowa, który miał się zająć wypchaniem tego zwierza po uбиciu go, polowano tymczasem na sarny i dziki. Trzy dni polowania udały się jak najzupełniej; ale te wszystkie choć liczne trofea, nie mogły zaspokoić myśliwych, którzy z niecierpliwością oczekiwali na uбиcie żubra. Nakoniec dnia 23go, przybył pan Filipow, i od świtu rozpoczęto obławę. Jeden tylko Hrabia Tyszkiewicz, jak to wyżej powiedziano, miał prawo strzelać do niego. W podobnych wypadkach, zawsze jak najściślej przestrzega się ten porządek, gdyby bowiem każdemu z myśliwców stojących na stanowiskach, można było strzelać do żubra, wówczas miasto jednego, mogłoby kilka paść ofiarą strzału. Piękny był widok owego zwierza, kiedy przestraszony krzykiem obławników i hałasem gończych, wypadł na Hrabiego. Hrabia przypuściwszy go na 150 kroków, zmierzył i wypalił; żubr skoczył jeszcze, ale ten skok gwałtowny zwierzęcia był również i ostatni. — Strzał bowiem był tak celny, iż kula przeszła żubrowi serce. Mnóstwo osób otaczało w tej chwili Hrabiego, i wszyscy byli świadkami mistrzowskiego strzału. Żubr zazwyczaj zaledwie od kilku kul pada, dla tego też strzelcy miejscowi, pochwycawszy Hrabiego na ręce, głośnemi okrzykami objawili swą radość z tego prawdziwego myśliwskiego tryumfu. Zaraz po zabicu, zdjęto z żubra skórę, a pan Filipow zajął się jej wypchaniem. (z K. W.)

Po raz pierwszy podobno wystąpił we Lwowie przed kilku laty z koncertem młody pianista **Leszetycki**, którego ojciec mieszka w Rzeszowskiem. Dziś już ten młody wirtuoz zjednał sobie europejską sławę. Bawi obecnie w Petyburgu. Wielka księżniczka Helena Pawłówna z powodu wybornej gry jego podczas *Soirée* na dworze carskim, ofiarowała mu wielką brylantową szpilkę. Niedawno produkował się przed cesarową. Poraz pierwszy zaś wystąpił w Matinée A. Kęckiego, (pierwszego sarkypka Cesarza Mikołaja) a krytyka (*Musée musicale*) oddała mu największe pochwały.

W Cincinnati (w Ameryce północnej), zjawił się niedawno **talent zadziwiający**. William Marsey, negr siedmnaoletni, potrzebuje nie więcej jak sześć minut czasu, aby zsumować kolumnę liczb o 180 rzędach, złożonych z dziesiątków tysięcy, ogółem kilka milionów wynoszących. Ilekroć to działanie odbywał publicznie, musiano dwie godziny poświęcić na sprawdzenie jego summy, która okazała się zawsze dokładną. Notabene, ten chłopiec ani czytać, ani pisać nieumie i nigdzie się nieuczzył.

Miła niespodzianka. Pozawczoraj gdy podoficer od 17go batalionu strzelców był na ordynansie u swego majora, wpada obca dziewczyna do przedpokoju. Jakże się zdumiał, gdy w przybyłej poznał dawną znajomą, którą zostawił w Reichenbergu w Czechach. Skoczył uradowany! Lecz proszę wyobrazić sobie zdziwienie jego, gdy usłyszał pierwsze słowa jej: Wygraliśmy wielki los nasz na loteryi drezdeńskiej: 60,000 złr. m. k. Szczęśliwi kochankowie!

Z dniem 15. stycznia pan Pfeiffer przestał być dyrektorem teatru polskiego. Tymczasowem dyrektorem teatru prowadzić będzie reżyser terazniejszy, p. Starzewski. Pani Aszpergerowa wystąpi w piątek w sztuce: *Wróżka*, w benefisie panny Rulkowskiej, jak to już dawniej donieśliśmy.

Z Wielką nocą zajądą zmiany następujące w teatrze polskim: panna Szuszkiewiczówna opuszcza scenę i wyjeżdża do Warszawy. Pan Miłaszewski wybiera się w podróż artystyczną. Natomiast pan Kaliciński jeden z lepszych artystów sceny krakowskiej zaangażowany jest dla lwowskiej sceny do ról amantów w komedyi i trajedyi.

I znowu musimy nową zmianę w zapowiedzianym koncercie pana Mikulego donieść. Odbędzie się jutro o godzinie 7. w sali ratuszowej.

Powszechnie chwają grę dziesięcioletniego pianisty Boguckiego, który wystąpił w piątek na korzyść ubogich między aktami przedstawienia teatralnego. Z największą łatwością pokonywał wszystkie trudności.

Korespondencya terazniejsza. — Niedawno padła niedaleko kwatery jenerała Szajmanowa w Dźurdzewie 24funtowa kula armatnia, którą puszczono z działa tureckiego z tamtej strony Dunaju ustawionego. Na kuli był napis: *Dzień dobry!* Jenerał kazał kulę odesłać księciu Gorczakowowi do Bukaresztu a sam przyrządził na innej kuli napis: *Dobranoc!* i tegoż samego wieczora posłać ją kazał na drugi brzeg Dunaju w obóz turecki.

W węgierskim narodowym teatrze w Peszcie dano w przeszłym tygodniu po raz setny w krótkim czasie operę Erkla: *»Hunyady Laszlo»* a zawsze przy wielkim natłoku widzów.

Pepita Oliwa zebrawszy znaczny majątek ma już przestać występować publicznie.

W pewnem towarzystwie zebrało się liczne grono osób przy kręcącym się stoliku, który, jako jeden z uczonych stolików, we wszystkich językach odpowiadał na zadawane mu pytania. Byli tacy, co nierozumieli jego odpowiedzi, ale domyślali się ich natychmiast. W tem jakiś jegomość wy dobył tabakierkę z kieszeni.... szczypta tabaki padła przypadkiem na namagnetyzowany stolik... ten kichnął!... A od wstrząśnienia magnetycznego obok stojący stół namagnetyzował się sam przez się, i powiedział mu: *»Na zdrowie!... Wystawcie sobie państwo zdziwienie widzów tej sceny!?!»*

Król Stanisław August przechodząc koło szkoły miejskiej w Warszawie, spostrzegł chłopców wybiegających ze szkoły i od zima drzących. — A cóż to, zapytał, czyli wam w szkole nie palą? — O palą, — ozwał się mały filutek i to tego palą, ale — w skórę, i pobiegł czempredzej dalej.

Szarada.

Pierwsza i trzecia to są stare rzeczy,
Druga i trzecia związek ubezpieczy;
Z wszystkiego ogromna siła,
Niestarte czasem budowle wznosiła.

Znaczenie szarady poprzedniej: **Gronostaje.**

Przyjechali dnia 13. 14. 15. i 16. do Lwowa:

Klemens Bobrowski, wł. dóbr, z Chodorowa, Eustachy Buczyński, wł. dóbr, z Przemyśla. Eliasz Garapich, wł. dóbr, z Za-

gorzec. Teodor Hulimka, wł. dóbr, z Sassowa. Eduard Kopecki, wł. dóbr, z Domażyra. Józef Lang, Justyciarusz, z Wolicy. Gerwazy Pietrasiewicz, proboszcz, z Zwertowa. Michał Popiel, dz. dóbr, z Jaśnik. Seweryn Smarzewski, wł. dóbr, z Hankowic. Feliks Sroczyński, zarz. dóbr, z Redni. Ludwik Wisniewski, wł. dóbr, z Putiatycz.

PP. Bohaczewski Jan, prow. aptek., z Buska. Czerkawski Michał, wł. dóbr, z Jaryczowa. Hr. Dzieduszycki Jan, wł. dóbr, z Sichowa. Krzyżanowski Feliks, wł. dóbr, z Słupiek. Lewakowski Jakób, wł. dóbr, z Pruss. Lewicki Jan, wł. dóbr, z Bonowa. Lewicki Józef, wł. dóbr, z Bonowa. Hr. Tadeusz Łoś, wł. dóbr, z Narola. Hr. Jarosław Łoś, c. k. komis. komit. Nétrebski Dominik, dz. dóbr, z Wykoł. Pohorecki Kajetan, dz. dóbr, z Horpinu. Stankiewicz Kajetan, rz., z Nadyb. Straż Feliks, drz. dóbr, z Pisarów-ki. Strzelecka Joanna, wł. dóbr, z Słowity.

PP. Chełchowski Andrzej Tomasz dyrektor teatru, z Krakowa. Czaykowski Hipolit wł. dóbr, ze Sarnik. Frank Ferdinand wł. dóbr, z Nahaczowa. Hantszl Józef dzw. dóbr, z Bodni. Maniewski Jan wł. dóbr, z Przemyśla. Ohertyński Leopold wł. dóbr, z Stronibab. Obmiński Hiacenty rz. dóbr, z Husakowa. Raczyński Feliks dzw. dóbr, z Załuży. Sochaniewicz Grzegórz wł. dóbr, z Bursztyna. Torosiewicz Maurycy dz. dóbr, z Ostrawy. Witosławski Bronisław wł. dóbr, z Żędowic. Zagórski Mieczysław wł. dóbr, z Wołkowa.

PP. Bobrowski Tytus wł. dóbr, z Łąk dolnych. Kowalski Jan pleb., z Żółtańca. Padlewski Aleksander wł. dóbr, z Dołhożego. Thulie Jan wł. dóbr, z Rzepniowa. Zawadzki Karol wł. dóbr, z Kruszelnicy. Ziembicki Grzegorz dokt. med. z Brzeżan.

Wyjechali dnia 13. 14. 15. i 16. stycznia z Lwowa:

PP. Feliks Baraniecki, aptekarz, do Przemyśla. Czerkawski Euz eb., c. k. radca szkolny, do Przemyśla. Głuchowski Fabian, wł. dóbr, do Czyżykowa. Hr. Komorowski Henryk, wł. dóbr, do Pawłowa. Mikołajewicz Józef, wł. dóbr, do Wiązowy. Paszkudzi Ignacy, wł. dóbr, do Przemyślan. Temiński Jan, maądariusz, do Złoczowa. Winnicki Tytus, wł. dóbr, do Liska.

PP. Garwoliński Jan, wł. dóbr, do Złoczowa. Hr. Adolf Gołuchowski, wł. dóbr, do Brzeska. Heller Aleks., c. k. komis. żup. do Krakowa. Kopecki Edward, wł. dóbr, do Domażyra. Kunaszewski Wład., wł. dóbr, do Złoczowa. Łodyński Antoni, drz. dóbr, do Płuhowa. Hr. Feliks Mier, wł. dóbr, do Witkowa. Stankiewicz Kajetan, rz., do Nadyb. Thulie Jan, wł. dóbr, do Rzepniowa. Zarewicz Wł. wł. dóbr, do Zawadki.

PP. Biniewski Kazimierz mand., z Magierowy. Lipiński Feliks art. muz., z Brodów.

PP. Dobrowolski Kornel wł. dóbr., z Kozewa. Ohanowicz Ignacy dzw. dóbr, do Brzeżan.

Kurs lwowski.

Dnia 16. Stycznia.		gotówka		towarem.	
Dukat holenderski	złr. 5	kr. 36	złr. 5	kr. 40.	
Dukat cesarski	" 5	" 41	" 5	" 45.	
Półimperyal zł. rosyjski	" 9	" 51	" 9	" 55.	
Rubel srebrny rosyjski	" 1	" 54	" 1	" 55.	
Talar pruski	" 1	" 44	" 1	" 47.	
Polski kurant i pięciozłotówka	" 1	" 25	" 1	" 26.	
Galicyskie listy zastawne za 100 złr.	" 90	" 7	" 90	" 25.	

Kurs telegraficzny z Wiednia 16. stycznia o 2 g. popołudniu.

Amsterdam 103 Augsburg 122 $\frac{3}{4}$. Frankfurt 121 $\frac{3}{8}$. Hamburg 90 $\frac{1}{2}$. Liworno 119. Medyolan 119 $\frac{1}{4}$. Genua. — Londyn 11. 54. Marsylia. — Paryż 143 $\frac{1}{4}$. Bukareszt. — Konstantynopol. — Agio duk. ces. — Srebra agio 20 $\frac{1}{8}$. Pożyczka 5% 92 $\frac{1}{2}$. 4 $\frac{1}{2}$ 81 $\frac{1}{8}$. Pożyczka lit. B. — Akcje banku 1332. Kolej północna 2300.

Nr. 6. Stron. 46. przedziałku 1. wierz od dołu 17. zamiast Harris czytaj Halley.